

Pamiętnik zawierający szczegóły długiego życia

[97]

Część III

Okres I wojny światowej, ewakuacja do Rosji.

Powrót i dalsze życie do wybuchu II wojny światowej

Rozdział I

Pamiętam, jak rano o świcie w poniedziałek 28 lipca 1914 roku usłyszałem, będąc jeszcze w łóżku, wielki płacz i krzyk kobiet i dzieci na ulicy – szosie przed moim mieszkaniem, pospieszywszy do okna, zobaczyłem duży niezwykle tłum ludzi. Były to żony z małymi dziećmi na ręku, dzieci, matki i ojcowie, żegnający swoich najdroższych: żony mężów, dzieci ojców, a ojcowie i matki synów odchodzących pieszo do Łomży z tobołkami na zaplanowany zborny punkt, celem wcielenia do armii i na wojnę. Tak samo rozpoczął się pobór koni, rowerów i wszelkich pojazdów mechanicznych, których wówczas było mało. Sparaliżowane zostało wszelkie spokojne, dotąd normalne życie i praca, z nadzieją jednak, że może, a może się pogodzą, lecz to nie nastąpiło. Wszelkie nadzieje na zażegnanie groźby wojny jakimiś środkami pokojowymi zawiodły i wojna wybuchła 1-go pamiętnego sierpnia 1914 roku.

Wojna według różnych przewidywań, przypuszczeń i rozumowania miała trwać niedługo, najwyżej pół roku, 8–10 miesięcy, a najwyżej jeden rok. Tymczasem i te przypuszczenia i rozumowania zawiodły. Rozpętana wojna europejska przekształciła się w niedługim czasie w wielką wojnę światową i trwała cztery lata, 3 miesiące i 9 dni, bo zakończyła się 9 listopada 1918 roku po kapitulacji Niemiec, proszących o zaprzestanie działań wojennych i rozpoczęcie rokowań pokojowych i upadku Austrii.

Kiedy już widmo wojny stało się nieuniknione, nastąpiło zarządzenie o zawieszeniu działalności sądów i ewentualnie ewakuacji w głąb Rosji. Otrzymałem polecenie o zdaniu Kasy Sądowej, księgi kasowej i dowodów do Kancelarii Zjazdu Sędziów Pokoju w Łomży, co też uczyniłem, udając się specjalnie przygodną furmanką do Łomży. W drodze wypadł ulewny deszcz, a nie mając parasola lub innego zabezpieczenia, bo nie zanosił się na deszcz, zmokłem porządnie prawie do skóry.

Wszyscy urzędnicy i funkcjonariusze państwowi otrzymali oprócz zwykłej pensji miesięcznej trzymiesięczną nadzwyczajną pensję na koszty ewakuacji, czyli wyjazdów w głąb Rosji, gdzie kto chciał. Państwowa gubernialna kasa w Łomży uskuteczniała wypłaty bez przerwy w dzień i w nocy przez szereg dni. Ja, sędzia i ławnicy otrzymaliśmy właśnie takie pobory i otrzymywaliśmy nadal należne miesięczne pobory w oznaczonym czasie normalnie, bez względu, że nie byliśmy z powodu wojny zatrudnieni do czasu, póki teren zamieszkania [98] nie został objęty działaniami wojennymi.

Po wybuchu wojny zrobił się duży ruch na szosie, po której od granicy od strony Szczuczyna – Grajewa jechały firy jedna za drugą uciekinierów, całe rodziny z tłumokami i różnymi rzeczami w stronę Łomży. Za kilka dni, a była wówczas ładna, upalna pogoda, przemaszerowało szosą w stronę granicy niemieckiej wojsko, w pełnym uzbrojeniu wojennym; cała dywizja, kilka pułków piechoty i innych formacji, zatrzymując się pod wieczór i na noc w Stawiskach i okolicy.

Była w tym wojsku część, czy też cały czwarty doński pułk kozaków, który stał w Szczuczynie, oficerowie którego zakwaterowali się u nas w mieszkaniu; gotowali i smażyli na kuchni jedzenie, kolację, między innymi kurczaki, pod komendą znajomego ze Szczuczyna rotmistrza Kozaka Biriukowa, zamieszkałego obok u Popielskiej. Podobnie działo się w następnych dniach, że coraz maszerowało wojsko (różne) w stronę granicy, a liczni uciekinierzy stale jechali i szli w stronę Łomży. Udało się już słyszeć dalekie strzały i jakieś wybuchy po stronie granicy, która od Stawisk nie była bardzo daleko, a odległa o około 20 kilometrów.

W tym straszliwym, pełnym grozy czasie zauważyłem pewnego ciepłego dnia pod wieczór pogodny o zachodzie słońca na niebie w stronie zachodu niezwykle szlaki, zwiastuny jakiegoś kataklizmu dziejowego. Na tle krwistej czerwieni zachodzącego słońca, nieliczne nieznacznie wolno poruszające się chmury przekształcały się chwilowo, powoli w różne dzidy, piki, lance, karabiny, armaty, konie i całe zastępy uzbrojonych jak z bajki wojaków, przy tym widoczne były jakby wybuchy, dymy i pożary, co tym bardziej dodawało niepokoju i strachu, przemyśliwania, jakie mogą być następstwa wojny.

Mimo wyjazdu innych nam nie spieszyło się z wyjazdem dalej od granicy do Łomży lub Sokół, ponieważ wiadomo było, że wojsko rosyjskie i to w dużej sile poszło na przód, przekroczyło granicę i posuwa się, zajmując znaczną część Prus Wschodnich. Wówczas wzmógł się ruch na szosie, to jechali bogatszymi i nędznymi furami w stronę Łomży i gdzieś dalej do Rosji i na Syberię uciekinierzy czy też wysiedleńcy, Prusaki, ludność z terenów zajętych przez wojska rosyjskie, ewakuowana przymusowo przez władze wojskowe.

Nasi niektórzy Polacy, chciwi zdobywcy, jechali na tereny zajęte przez wojska rosyjskie i przywozili całymi furami różne ruchomości, zabierane z domów, z których ludność tamtejsza w obawie przed Rosjanami uciekła w głąb na zachód. Podobno bezludne były całe wsie, a ich

pozostawione mienie było zabierane i wywożone przez Rosjan i częściowo naszych. Wówczas można było nabyć od tych rebusów za bezcen różne rzeczy, jak: pościel, pierzyny, poduszki, dywany, ubrania i inne. [99]

Tak trwało około miesiąca, zmieniło się kiedy potężne dwie armie rosyjskie, około 180 tys., pierwsza dowodzona przez generała Niemca Renenkampa i druga przez dobrego generała Rosjanina Samsonowa, do której wcieleni byli wszyscy Polacy zmobilizowani z okręgu łomżyńskiego, wprowadzone w zasadzkę za zdradą 1-go generała Niemca, zostały rozbite przez wojska niemieckie u jezior mazurskich Śniardwy, Mamry i inne. Ponieśli wówczas Rosjanie sromotną klęskę, rzadką w dziejach wojen, ponieważ około 100 000 najlepszego wojska, ze wszystkim sprzętem, amunicją, całe pułki i dywizje świetnie ubrane i wyposażone w najlepszą wówczas broń, z kasami pułkowymi i wszelkim bogactwem, dostało się do niewoli i w ręce Niemców. Wprowadzone w zasadzkę poddały się bez boju i oporu całe pułki i sztaby dywizji i korpusów, a sam dowódca II-ej armii Samsonow poległ czy też popełnił samobójstwo. Część rozbitków w popłochu uciekła. Wzięto do niewoli około 100 tys. żołnierzy i oficerów.

Naocznym świadkiem tej klęski był mój krewny, cioteczny brat Paweł Gobiecki, który szczegółowo opowiedział i nieraz powtarzał przebieg tej operacji i klęski, bo był on jako żołnierz rezerwy wcielony właśnie do tej armii. Brał udział w marszu i bojach i udało mu się zbiec i uniknąć bardzo ciężkiej wówczas głodowej niewoli niemieckiej, z której znaczna część naszych braci Polaków nie wróciła. Umarli tam w obozach z głodu i chorób. Mówił, że było niemądre dowództwo, które gnało żołnierzy, aby dalej w głąb Niemiec bez poczynienia żadnych umocnień, okopów itp., jakby umyślnie, aby ponieść klęskę.

Po rozbiciu tych armii wzmógł się znowu ruch, na szosie i innych drogach zaroilo się od uciekających wojskowych i cywilów, a był to odwrót, czyli ucieczka ocalałych rozbitków ściganych przez wojska niemieckie.

Dopiero wówczas przyszła i na nas kolej ucieczki w obawie, że lada dzień mogą pojawić się Niemcy, którzy według opowiadań mieli obchodzić się z ludnością bardzo surowo, a tym bardziej wobec urzędników i funkcjonariuszy państwowych i było już wiadomo o zburzeniu polskiego miasta gubernialnego Kalisza i wymordowaniu ludności. Wszystkich ogarnął strach, myśleliśmy, aby jak najprędzej wyjechać ze Stawisk do Łomży i dalej do Sokół. O najem furmanki w tym chaosie było bardzo trudno, więc dostałem furmankę z urzędu gminy, stojkową, z zegnanych furmanek z okolicznych wsi dla potrzeb wojskowych, na której, zabrawszy naprędce kosz z ubraniami, kuferek z bielizną, pościel i maszynę do szycia, wyjechaliśmy w niedzielę rano. Daty nie pamiętam, w połowie września, do Łomży. Pozostałe prawie wszystkie rzeczy z zajmowanego mieszkania przewiezione zostały najętą furmanką przeddzień wyjazdu do lokalu Sądu, gdzie uważało się, że przeleżą bezpiecznie, lecz stało się inaczej, ponieważ co lepsze rzeczy zostały rozkradzione.

[100] Od tego czasu zaczęła się nasza tułaczka, niewygody i różne uciążliwe podróże, trudne warunki lokalowe, czyli mieszkania i w ogóle trudne i ciężkie przeżycia w czasie całej wojny i po wojnie.

Przyjechawszy do Łomży, zauważyło się moc wojska i pełno furmanek, że trudno było przejechać. Po zorientowaniu się w sytuacji, że w Łomży nie było możliwości zatrzymać się z braku na razie miejsca na zakwaterowanie się, choć z czasem by się to udało, z powodu wyjazdu wielu rodzin Rosjan, lecz powzięty był zamiar jechać dalej od granicy i frontu, w swoje rodzinne strony – do Sokół. Po niedługim odpoczynku w Łomży pojechaliśmy tą samą furmanką do Rutek i dalej aż do Sokół.

W drodze do Rutek, gdzieś w połowie drogi, zaczął padać deszcz, który wzmagał się i padał do wieczora. Był zamiar zatrzymać się na noc w Rutkach, gdzie był Sąd Gminny i znajomy sekretarz sądu pan Starzyński, lecz z powodu deszczu trzeba było zatrzymać się we wsi, o kilka kilometrów od Rutek, Truszki, gdzie zmoknięci zostaliśmy przyjęci na noc w dosyć gościnnym gospodarskim, zamożnym domu. Gospodyni, której mąż powołany został na wojnę, przyjęła nas gościnnie, odstępując swoje łóżko z pościelą, w którym spała żona i dzieci, a ja z furmanem, który nas przywiózł, spaliśmy na podłodze na rozesłanym pęczku słomy. Po śniadaniu pojechaliśmy dalej do Rutek. Po postoju w Rutkach, gdzie było nadzwyczajne błoto na ulicy i na dosyć dużym rynku niebrukowanym, pojechaliśmy pomału tą samą furmanką do Sokół. W Rutkach chciałem złożyć wizytę koledze Sekretarzowi, ale nie był obecny w domu, a gdzieś na wsi.

Do Sokół zajechaliśmy pod wieczór w poniedziałek. Pogoda cały dzień dopisała, zajechaliśmy oczywiście do matki – teściowej i szwagrów. Przyjęto nas jako uciekinierów, pierwsze ofiary wojny, dosyć gościnnie. Z braku osobnego próżnego lokalu zamieszkaliśmy razem w mieszkaniu matki i szwagra Antosia, który był kawalerem, a matka była wdową.

Po kilku, może siedmiu dniach pojechaliśmy na wieś do Truskolas Starych na ojcowiznę, dokąd zabrał nas brat Franciszek swoją furmanką. Tam zamieszkaliśmy razem w domu i na gospodarstwie, pozostałym po zmarłym niedawno, 14 lipca tegoż roku – na dwa tygodnie przed wybuchem wojny, ojcu, w którym należała mi się udziałowa część spadkowa. Połowa całego tego gospodarstwa, stosownie do woli ojca – aktem notarialnym, należała do brata Franciszka, zaś druga połowa do pozostałych czterech braci, to jest do mnie i trzech kolejnych: Mikołaja, Władysława i Romana, przebywających w Ameryce.

Ojciec, kiedy byłem w odwiedzinach, na dwa tygodnie przed swoją [101] śmiercią, polecił bratu Franciszkowi wydanie dobrowolnie, bez żadnych sporów i procesów, przypadającą połowę majątku któremukolwiek z pozostałych synów, który by wrócił i chciał gospodarzyć, więc stosownie do tej woli ojca pojechałem na własne gospodarstwo, zamiast

siedzieć w Sokołach lub gdzie indziej mieszkać w wynajmowanym mieszkaniu i żyć z grosza lub zarobku.

W tym samym czasie, po naszym wyjeździe ze Stawisk, Niemcy, korzystając z rozbicia armii rosyjskiej i ucieczki Moskali aż w okolice Łomży, silnym natarciem wkroczyli w granice Polski na całym tym północnym froncie, zajmując Grajewo, Szczuczyn i Stawiski, a dalej za Grajewem Rajgród i inne, i zatrzymując się w pobliżu twierdzy Osowiec, którą ostrzeliwali z dział ciężkiego kalibru, bo słychać było wyraźnie głośnie strzały w Sokołach i tamtejszej okolicy. Wyjechaliśmy w niedzielę, a w piątek już byli Niemcy w Stawiskach i 5 do 7 km dalej w stronę Łomży, gdzie uformował się front, natrafili już po paru dniach na opór wojsk rosyjskich i po pewnym czasie, około dwutygodniowych walk, na całym tym odcinku frontu Niemcy zostali wyparci z granic Polski i wypędzeni w głąb Prus Wschodnich aż pod Giżycko, Szczytno i inne okolice jezior mazurskich, gdzie utrzymał się front aż do połowy lutego 1915 roku.

Po ustąpieniu Niemców pojechałem do Stawisk, gdzie zastałem w sądzie duży bałagan, wszystkie drzwi były poroztwierane, akta sądowe – sprawy porozrzucane, część ich zniszczona, podobno przez Niemców, a później przez Rosjan, znaczna część naszych rzeczy przez nikogo niestrzeżonych, co lepszych skradziona, między innymi komplet nowych dywanów perskich, które były zamknięte w komodzie, a także naczynia i inne sprzęty. Pozostałe rzeczy umieściłem na górze w Archiwum Sądowym pod opieką właściciela domu, zamożnego byłego gorzelanego Piekuta, tam też przeniosłem i ułożyłem wszystkie akta i księgi sądowe, a także i sprzęty sądowe, ponieważ lokal Sądu, dosyć obszerny, sala i cztery pokoje, zajęte były stale przez zatrzymujące się wojska idące na front lub odwrotnie.

Powróciwszy po kilku dniach ze Stawisk, które mało ucierpiały od działań wojennych, bo nie było tam na szczęście frontu, oprócz drobnej strzelaniny – życie na wsi było normalne i spokojne, bo ta wieś położona z dala od szosy i traktów przemarszu i ruchu wojsk. Pomogłem kopać kartofle i w miarę możliwości i siły wykonywałem różne inne roboty w gospodarstwie, jak: młócenie zboża cepami, dozorowanie i karmienie inwentarza żywego itp. Wszystko to było czasowe, bo miałem zamiar powrotu do Stawisk i pracy biurowej, w razie przesunięcia się frontu dalej w głąb Niemiec i jak było przypuszczenie i nawet były pogłoski, że Sądy miały być wznowione na tych terenach znajdujących się dalej od frontu i działań wojennych od dnia 1 marca 1915 roku.

[102] Tymczasem w lutym, coś około 15–20, czas surowej zimy – nastąpiła niespodziewanie zmiana, Niemcy silnym uderzeniem wyparli Rosjan z Prus Wschodnich i front działań wojennych utworzył się w połowie drogi między Stawiskami a Łomżą. Był w samym miasteczku Jedwabnem, koło małego Płocka, Nowogrodu i dalej wzdłuż Narwi, a na północy w pobliżu Osowca, Augustowa, Suwałk. I tak ten front był na miejscu aż do końca lipca. Tam

w okolicy Sokół słyhać było prawie codziennie, a często i w nocy, głucho strzały armatnie, czasami silniejsze jak pociągłe grzmoty.

Z nastaniem wiosny pomagałem przy obsianiu zasiewów wiosennych, później z nastaniem żniw zwieźliśmy do stodoły połowę zasiewów oziminnych żyta i pszenicy, które brat Franciszek wydał, tak miało być i z połową zasiewów wiosennych, byłby zapewniony chleb na zimę i cały rok. Mieliśmy własną krowę i dwoje świń. Tymczasem znowu stało się inaczej z powodu gwałtownej zmiany na froncie, kiedy Niemcy w lipcu przerwali fronty na całym terenie działań wojennych w Polsce.

Rosjanie poczęli cofać się i uciekać na wschód. Wówczas znowu ogarnął nas i całą ludność strach przed zbliżającym się frontem i wrogiem odwiecznym Polaków – Niemcami. Jedyna zrodziła się myśl o ucieczce przed wrogiem i następstwami wojennymi, tym razem gdzieś daleko w głąb Rosji, do Moskwy, lecz później, uważając, że w Moskwie będzie przeludnienie i trudne warunki mieszkaniowe i w ogóle, wybrałem Tulę. W początku sierpnia 1915 roku pojechałem okazji do Mazowiecka, po wiadomości i dyrektywy do władz państwowych, w związku z ewakuacją i wyjazdem, gdzie dowiedziałem się, że już Warszawa w tych dniach 5 sierpnia została zajęta przez Niemców. Ruch odwrotu i ucieczki na wschód do Rosji był wzmożony. Jeżeli wyjeżdżać, to należy się spieszyć, bo może być za późno. Otrzymałem papiery ewakuacji, bezpłatny przejazd koleją z bagażem do Tuły, a można było tak jechać najdalej choćby na Syberię.

Po powrocie w piątek z Mazowiecka przez całą sobotę i niedzielę było przygotowanie do wyjazdu, spakowało się to, co przywieźliśmy ze Stawisk, to jest: kosz z ubraniami, kuferek z bielizną, maszynę do szycia i pościel oraz trochę zapasów żywności, a resztę, zbiory oziminy, zasiew wiosenny i całe gospodarstwo trzeba było zostawić. Wobec wynikłego nieporozumienia z bratem zbiory ozime, krowę i świnię zabrał szwagier (który przyrzekał krowę i świnię, a przynajmniej krowę, zwrócić po naszym powrocie, lecz przyrzeczenia nie dotrzymał) i siostra na Niwisko, zasiewy wiosenne po usunięciu się frontu na wschód zebrał brat Franciszek.

Niemądrze i bardzo nieroztropnie wyszło z tym wyjazdem do Rosji, stokroć byłoby lepiej, mając gospodarstwo i zapewniony na jakiś czas byt, pozostać na [103] miejscu, tak jak pozostali brat, szwagier, cała rodzina żony w Sokolach i wszyscy inni gospodarze i wszelka ludność, z małymi wyjątkami ucieczki i wyjazdu; były wprawdzie w miejscowości i wypadki podpalenia przez uciekających Rosjan wiosek i wypędzania ludności do Rosji, uciekała ludność robocza z miast i prawie wszyscy urzędnicy i funkcjonariusze państwowi jak kolejarze, policjanci i różni inni, którym polecono było wyjechać i wypłacono koszty ewakuacji, lecz nie było przymusu, kto chciał, to się został, ale takich było mało. Z liczby 17 Sekretarzy Sądów zostało się tylko dwóch w tym I okręgu łomżyńskim, powyjeżdżali też i Sędziowie i niektórzy adwokaci.

Tym, co się zostali, wyszło dużo lepiej, bo po przesunięciu się daleko na wschód frontu władze okupacyjne niemieckie zarządziły wprędce po zajęciu terenów Polski wznowienie i uruchomienie wszelkich urzędów, między innymi i sądów, na razie wszystkich sądów gminnych, jakie funkcjonowały do chwili wybuchu wojny i prowadzone były w języku polskim jeszcze w końcu 1915 roku i z początkiem 1916 roku. Wobec wyjazdu znacznej większości urzędników Sekretarze Sądów i inni byli poszukiwani. Byle pisarek został Sekretarzem, a nawet Sędzią i ja, gdybym nie wyjechał, byłbym na pewno Sekretarzem Sądu w Sokołach i byłoby całkiem dobrze, może nie byłoby i późniejszych przykrych i bardzo nieprzyjemnych następstw.

Po ostatecznym zdecydowaniu i przygotowaniu do wyjazdu wyjechaliśmy ze wsi w poniedziałek rano 10 sierpnia 1915 roku do Sokół, odwoził nas szwagier Julian Kruszewski z Niwiska. Po zatrzymaniu się chwilowo i pożegnaniu w Sokołach pojechaliśmy dalej do Łap z powodu niemożności jechania koleją z małej stacji w Sokołach.

W Łapach czekaliśmy na stacji kolejowej na pociąg pasażerski całą dobę i dopiero na drugi dzień we wtorek, już wieczorem, wyjechaliśmy przepelnionym uciekinierami pociągiem, podobno ostatnim do Białegostoku. W Białymstoku przesiadka. Na stacji moc ludzi, niezwykła wszędzie ciżba i chaos, wszyscy uciekinierzy pragnęli, jak najprędzej wyjechać, aby dalej, bo były niepokojące wieści, że Niemcy szybko posuwają się na wschód i lada dzień będą już pod Białymstokiem, co było widać z ruchu na wszystkich drogach rojących się od wojska i różnych pojazdów i furmanek. Wszystko uciekało na wschód, aby prędzej i dalej, ogarnął ludzi strach niezwykły.

W nocy powstał popłoch wśród tej masy ludzi, bo podobno zauważono samolot „zepelin”, jakie mieli już Niemcy, którego zadaniem było zrzucać bomby. Z gmachu dużego dworca pasażerowie z dziećmi i tobołami, również i my z dziećmi śpiącymi i tobołami uciekaliśmy bez zastanowienia i opanowania sytuacji na perony przepelnione różnego rodzaju wagonami z pociągami i za tym po minięciu obawy, bo żadnego samolotu, [104] co było wówczas rzadkością, nie było – z powrotem do gmachu dworca.

Rano, kiedy rozswitało i zaczął się dzień, dowiedzieliśmy się, że nasz pociąg na Baranowicze odjedzie za jakiś czas, może za godzinę lub dwie, z 13-go toru, więc do tego stojącego już pociągu trzeba było przedostawać się z tobołami i dziećmi, między i pod wagonami stojących pociągów. Kiedy już sadowiliśmy się w wagonie i wiedząc, że pociąg nie odejdzie zaraz, poszedłem trochę na miasto, aby coś kupić do życia w drodze i nabrać wody gorącej w czajnik. Tymczasem pociąg odszedł, zapytany konduktor powiedział i pokazał, że tylko co odszedł, jeszcze było widać, jak skręcał na linię do Baranowicz. Popędziłem co sił, ale nie mogłem dopędzić, kiedy dobiegłem do stacji drugiej, około 4 km – dworzec Poleski, na której ten pociąg się zatrzymał, znowu dobiegając do stacji, widziałem jak tenże pociąg ruszył i poszedł dalej.

Zrozpaczony i bardzo zmęczony wyczekałem aż następny jakikolwiek pociąg będzie szedł i właśnie około południa taki pociąg wiozący rodziny kolejarzy towarowo-osobowy szedł, w którym zajechałem już w wieczór do Wołkowyska, a stąd znowu pierwszym. jaki szedł, dojechałem szczęśliwie następnego dnia w czwartek do Baranowicz, gdzie znalazłem na dworcu pasażerskim dużej stacji swoją rodzinę i po pewnym, niedługim czekaniu załadowaliśmy się na pociąg pasażerski odchodzący do Moskwy. Znowu następnego dnia była przesiadka w Wiaźmie na pociąg idący bezpośrednio do Tuły i już czwartego dnia po wyjeździe z Łap byliśmy po południu w sobotę 15 sierpnia w Tule.

Przed wyjazdem ze wsi, wieczorem z niedzieli na poniedziałek, wracając od siostry z Niwiska, widziałem na zachodzie liczne łuny pożarów i dalekie strzały. Ludność wiejska w tych krytycznych dniach zbliżającego się frontu działań wojennych była zmartwiona i przerażona okropnościami wojny, niepewna życia i mienia, nie kwapiąc się do ucieczki, zdecydowana siedzieć na miejscu do ostateczności i opuszczać swe siedziby i gospodarstwa tylko w razie konieczności. Jak później po powrocie dowiedzieliśmy się to ta konieczność nastąpiła już na trzeci dzień po naszym odjeździe, kiedy ustępujące wojska rosyjskie zakwaterowały się chwilowo we wsiach, a ludności cywilnej nakazali usunąć się gdziekolwiek. Opornych wyganiaли siłą, nakazywali wyjeżdżać do Rosji, więc ludność zamiast wyjeżdżać do Rosji, z małymi wyjątkami, chroniła się w pobliskich lasach z dobytkiem i zabranym mieniem, aby przetrwać kilka dni grozy, strzelaniny i strachu i doczekać się zmiany frontu, ucieczki Rosjan i przybycia Niemców, i przetrwali, bo na szczęście [105] większych bojów wskutek silnego natarcia Niemców i ucieczki Rosjan nie było w tamtejszej okolicy Sokół, poza mniejszymi potyczkami jak na Wnorach, Szymanach, w Bruszewie i innych.

Sokoły były ostrzeliwane z dział niemieckich wojsk będących koło wsi Faszczce i Bruszewo z racji, że jeden osobnik, młody chłopiec, wlaźł na wieżę kościoła, aby zobaczyć, jak daleko są Niemcy, którzy zauważyli go przez lornety, dali ognia na kościół i Sokoły, narobiwszy dużo strachu i zamętu, i uszkodzeń kościoła – z okien kościoła powypadały drogie witrażowe szyby, uszkodzony był znacznie dach i ucierpiały niektóre budynki prywatne, uciekła też część ludności. Nasi szwagrowie i matka oraz sąsiedzi schronili się w wykopanym w ogrodzie koło domu wądole – specjalnym schronie – i te groźne kilka dni szczęśliwie przetrwali.

Rosjanie, ostatnie ich oddziały, wycofali się na Łapy i dalej na Białystok, a Niemcy wkroczyli do Sokół już w piątek 14 sierpnia 1915 roku. Ustępującym Rosjanom było polecono palić po drodze wszystko, to jest: wsie, miasta i osiedla, a ludność wyganiać do Rosji, niszczyć drogi i mosty, aby utrudnić wrogom Niemcom szybkie posuwanie się naprzód, a przez palenie wszystkiego pozbawić ich żywności. Lecz wskutek szybkiego natarcia Niemców Rosjanie nie

zdążyli dokonać zniszczenia, bowiem sami nie zdążyli uciekać i dostawali się do niewoli. Tylko niektóre wioski i osiedla położone przy głównych traktach zostały częściowo spalone.

Taki katastrofalny stan rzeczy, niepowodzenie na całym szerokim froncie i gwałtowny bezplanowy odwrót i ucieczka z granic Polski spowodowane były niedołęstwem dowództwa rosyjskich sił zbrojnych, przestępstwami i zdradami wielu generałów, pułkowników i różnych innych niższych oficerów narodowości niemieckiej, których było wówczas dużo w armii rosyjskiej i mieli oni uważanie i poparcie, ponieważ carski dwór rosyjski był spokrewniony od setek lat z cesarskim dworem niemieckim i udziałowymi książętami niemieckimi, nawet żona cara rosyjskiego Mikołaja Romanowa, jednego wielkiego samowładnego cesarza w świecie, była rodowitą Niemką i księżniczką Heską.

Często w wojsku brakło amunicji, dzielni żołnierze rosyjscy nie mieli czym strzelać wskutek umyślnego niezaopatrzenia w amunicję, naboje i pociski, z braku których musieli opuszczać dobre pozycje i umocnienia i uciekać. Transporty broni i amunicji były skierowane niby mylnie zamiast do Białegostoku, głównej centrali frontu – poszły do Władywostoku. Za to ówczesny minister wojny słynny generał broni Suchomlinow został przez cesarza usunięty ze stanowiska ministra i oddany pod sąd wojenny i skazany na karę śmierci. Był to głośny na cały świat pierwszy w dziejach carskiej Rosji wypadek osądzenia tak wysokiego dostojnika na karę tak niesłychanie surową.

[106]

I naczelny wódz armii rosyjskiej, wielki książę, stary doświadczony generał Mikołaj Mikołajewicz – stryj cesarza Mikołaja, został usunięty ze stanowiska naczelnego dowódcy, które to dowództwo objął sam cesarz Mikołaj II, który był w randze pułkownika i podobno nie miał doświadczenia wojskowego, a tym bardziej do kierowania wojskami całego bardzo szerokiego frontu, więc losy wojny już wówczas były przesądzone. Front tejże jesieni 1915 roku przed nastaniem zimy zatrzymał się koło Baranowicz i tam pozostawał z różnymi zmianami i posunięciami przez około 2 lata.

Zajechawszy do Tuły z dużego dworca kurskiego zawiózł nas dorożkarz (izwoszczyk) do hotelu, gdzie przenocowawszy, na drugi dzień rano w niedzielę nie znając miasta, udaliśmy się na poszukiwanie mieszkania i po pewnym niedługim czasie znaleźliśmy w pobliżu tego hotelu tymczasowe mieszkanie, spory pokój przy ulicy Serebriańskiej u wdowy Szczokin w drewnianym domu: kuchnia wspólna z właścicielką i innymi lokatorami za 10 rubli miesięcznie. Pokój ten ładnie wyglądał, widny, słoneczny, a zapluskwiony, w nocy nie mogliśmy spać, gryzły niezwykle pluskwy, dzieci przerywały sen płaczem. Na drugi dzień córka gospodyni zamężna zajmująca pokój obok robiła nam wymówki z propozycją wyprowadzenia się, bo im ciasno i dzieci nasze przeszkadzały im, spać nie mogli.

Po pewnym niedługim czasie przeprowadziliśmy się do innego przy tejże ulicy lepszego mieszkania dwupokojowego, kuchnia również wspólna, bo tam prawie we wszystkich mniejszych domach tak samo, lecz i to mieszkanie okazało się zimne i wilgotne, niezdatne do zamieszkania na stałe.

Po przeniesieniu się z hotelu do wynajętego pokoju poszedłem zwiedzić miasto, które było dosyć duże. Znalazłszy się w centrum miasta, trafiłem na rynek, bazar, gdzie był duży ruch, roiło się od najrozmaitszych handlarzy i handlarek sprzedających najrozmaitsze towary. Stragany, stoiska, budki itp. – ruch i chaos niezwykły, a tym bardziej, że było to w niedzielę, a tam zwykle w niedzielę lub święta największe są z rana do południa targi i jarmarki.

Trafiłem na główną ulicę Kijowską, dosyć szeroką i długą, około 4 km, z okazałymi gmachami, w których mieściły się główne urzędy: gubernialny, sąd okręgowy i różne inne, okazałe duże sklepy. Dwa nieduże ogrody spacerowe: Puszczyński i Gogolewski, mniej więcej w połowie ulicy, jeden po jednej stronie, a drugi po drugiej, z pomnikami w każdym: Puszczyński i Gogola, znanych pisarzy rosyjskich. Idąc dalej w górę, doszedłem do zastawy, czyli rogatek, koniec tej ulicy jeszcze daleko, zobaczyłem kościół nieduży, dosyć ładny na dużym ładnie zadrzewionym cmentarzu, na którym przed kościołem stała [107] figura Matki Boskiej mająca precudnie ładną twarz i jakby żywe blond złote włosy, 7-gwiazdową koronę na głowie. Kościół ten był katolicki, czyli polski, bo wszystkie kościoły katolickie w Rosji nazywały się powszechnie polskie (Polskij Kastiol). Było już po południu po nabożeństwie, powiedział mi, że to polski kościół spotkany przed wejściem do kościoła pan, który był pełniącym obowiązki organisty w tym właśnie kościele katolickim jedynym na całą dużą gubernię Tulską i miasto Tułę, w którym było niedużo Polaków, około 500 osób katolików różnej narodowości, a po pewnym czasie po przybyciu dużej ilości wygnańców, ofiar wojny, było ich około 6 tysięcy.

Po urządzeniu się jakkolwiek na mieszkaniu zacząłem poszukiwać pracy. Z chwilą przebywania większej ilości wygnańców, a w ich liczbie Polaków, utworzył się, czyli zorganizował Polski Komitet Pomocy Wygnańcom, dla innych narodowości także komitety jak: żydowski, litewski, łotewski i ogólny rosyjski, zadaniem których było zaopiekowanie się uchodźcami, rejestracja i udzielanie wszelkiej pomocy: w otrzymaniu mieszkań, wyszukaniu pracy, dla niemogących pracować organizowanie przytułków, schronisk, organizowanie zakładów pracy, organizowanie szkół, ochronek dla dzieci i pomoc materialna, wydawanie zasiłków pieniężnych i artykułów odzieżowych. Komitety tworzyły się z ludzi dobrej woli tam stale zamieszkałych, zajmujących znacznie stanowiska lub przedsiębiorstwa handlowe, przemysłowe itp. oraz z ludności uchodźczej, ewakuowanych urzędników danej narodowości.

Na czele Polskiego Komitetu stanął, czyli był organizatorem i prezesem, inżynier z Warszawy Akcyz i Monopolów Państwowych, szczególnie gorzelnictwa, pan bardzo zacny i mądry, dobry polityk, prawdziwy Polak, patriota, bojownik o polskość i prawa Polaków Józef

Kaczkowski, przeniesiony czy też wysiedlony z Warszawy przed paru laty do Tuły, zajmujący stanowisko naczelnego Rewizora Okręgowego Urzędu Akcyz i Monopolów Państwowych w Tule. Organizujący się Komitet i Biuro takowego mieściło się w szczupłym lokalu byłym handlowym przy ulicy Kijowskiej. Zgłosiwszy się do tego Komitetu o pomoc w otrzymaniu pracy, zostałem skierowany do pracy w terenie w cukrowni w mieście powiatowym Bogurodzicku, odległym o przeszło 100 km, skąd było zapotrzebowanie na kilku pracowników umysłowych, a w tej cukrowni byli na kierowniczych stanowiskach Polacy, znajomi Zarządowi Komitetu.

Otrzymawszy formalne skierowanie, pojechałem tam wraz z innymi, przyzwoitym panem Janem Kremznerem, również poszukującym pracy biurowej, lecz okazało się na miejscu, że tam praca dla nas była nieodpowiednia jako sezonowa, czyli chwilowa na czas kampanii funkcjonowania cukrowni przy przyjmowaniu dostarczonych buraków cukrowych, więc nie mogliśmy [108] zgodzić się na przyjęcie tej pracy. Otrzymaliśmy zwrot kosztów podróży i noclegu i powróciliśmy do Tuły.

Miasto powiatowe Bogorodzick mający około 10 tys. mieszkańców wyglądało jak wielka wieś. Ulice tylko niektóre były brukowane i na jednej było nawet kawałek chodnika cementowego. Budynek duży niebrukowany i kilka cerkwi. Boczne ulice i dalej na peryferii niczym nie różniły się od naszych wsi, niebrukowane i zarośnięte trawą i chwastem. Akurat tego dnia, co zajechaliśmy, już pod wieczór był tam odpust i duży podobno z rana jarmark, bo był to Dzień Matki Boskiej Narodzenia 8 września starego stylu – główny coroczny odpust i zarazem jarmark, pochodzące od samej nazwy miasta Bohorodzick (Bogurodzicy).

Po kilku dniach poszukiwania po urzędach pracy dostałem pracę biurową w Izbie Skarbowej jako kancelista, pomocnik buchaltera w II oddziale, III rozchodowy pododdział, gdzie pracowałem 2 miesiące z pensją tymczasem 30 rubli miesięcznie, później obiecywali awans i większą pensję. Izba Skarbowa była duża, około 200 urzędników. Praca rozpoczynała się o godzinie 10 do 3 i niektóre oddziały pracowały w godzinach poobiednich dwie godziny od 6 do 8. Praca poobiednia była uciążliwa, bo z ulicy Sieriebriańskiej do Izby Skarbowej było w jedną stronę ponad 2 km. Prowadziłem księgę rozchodów i rachunki rozchodowe wszystkich powiatów w guberni, których było 12 i zapamiętałem nazwy tych powiatów, okrążających miasto Tułę, poczynając od północy na wschód, południe i zachód, a mianowicie: Tuła, Aleksin, Kaszyra, Wieniow, Bohorodick, Jepifań, Jefremów, Nowosil, Czerń, Krapiwna, Odojew i Bielów. Pensja 30 rubli na życie, mieszkanie i różne inne potrzeby była trochę za szczupłą, ale można było żyć, bo niczego nie było brak i było niedrogo. Drożyzna na wszelkie artykuły od wybuchu wojny mało się zmieniła.

Miasto Tuła dosyć duże, stare fabryczno-handlowe miasto około 250 tys. mieszkańców, głównie przemysł ciężki, metalowy, przeszło 100 różnych fabryk, słynne tulskie fabryki

samowarów i największa w Rosji fabryka broni (Tulskij Orużejnyj Zawod), zatrudniający wówczas 30 tys. robotników. Jej głównym komendantem i dyrektorem był Niemiec, który dopiero w tym czasie został zmieniony i zastąpiony Rosjaninem i druga podobno państwowa fabryka pocisków i amunicji (patronnyj zawod) zatrudniająca 25 tysięcy robotników. Ulice długie, ciągnące się głównie od Śródmieścia na kilka kilometrów, od Śródmieścia brukowane domy murowane, a dalej domy i domki drewniane, przeważnie szczytem do ulicy i ulice niebrukowane, na których w mokrej porze jesiennej do zamarznięcia i na wiosnę nadzwyczajne błoto. W środku miasta podobnie jak w Moskwie lub Nowogrodzie Wielkim jest Kreml. Stary, poszczerbiony [109] wysoki mur, w środku którego było kilka starych zabytkowych cerkwi i jakichś starych budynków oraz duża elektrownia miejska, a z frontu, od zaczynającej się głównej ulicy Kijowskiej, dosyć ozdobny zabytkowy dwupiętrowy dom – pałac cesarza Aleksandra I-go z główną bramą wejściową do Kremla. Obok Kremla duży w samym centrum miasta ogród spacerowy zwany Kremłowski Sad.

Było dużo, wszędzie w mieście i na peryferiach, przeróżnych cerkwi, niektóre bogate i z wysokimi wieżami i ozdobnymi złożonymi kopułami. Może było ich ze 100. Trzy dworce kolejowe: główny Kurski kolei Moskwa–Kursk–Charków, drugi kolei Wiaźma–Syzran nad Wołgą i trzeci Tuła–Lichwin. W Śródmieściu w pobliżu Kremla duże place targowe, bazarowe i dalej w różnych punktach miasta podobne mniejsze i większe place, chlebny, sienny i inne.

Poza miastem w stronie południowej w pobliżu końca ulicy Kijowskiej i naszego później mieszkania był wielki park miejski, mającym mnóstwo drzew i różnych ładnych prostych alei, zieleńców i kwietników, w którym była letnia restauracja i okazałe, ładne ptaki pawie chodziły po ogródku przy restauracji. Prawie przez środek miasta przepływa nieduża rzeka Upa, szeroka jak nasza Narew, z odnogą w Śródmieściu tworzącą sporą podłużną wyspę, na której znajdowała się wielka fabryka broni. Przez rzekę i odnogę było kilka mostów.

Przez kilka tygodni po przyjeździe do Tuły nie nadchodził bagaż nadany w Łapach, który winien był przyjść razem z naszym przyjazdem lub kilka dni później. Prawie codziennie chodziłem na dworzec po odbiór, wniosłem odpowiednią reklamację do władz kolejowych o poszukiwanie i dopiero po około 5 tygodniach został odnaleziony, jako mylnie skierowany w tym niezwykłym chaosie ucieczki przed Niemcami. Znajdował się na jakiejś stacji węzłowej w centrum Rosji. Ucieszyliśmy się bardzo, bo to był cały nasz drogi majątek, zawierający wszystkie ubrania i coś lepszego, bieliznę i maszynę do szycia – nową nożną. Maszyna była uszkodzona, złamana nóżka, wniosłem reklamację do zarządu kolei i dostałem odszkodowanie 10 rubli według urzędowego oszacowania szkody.